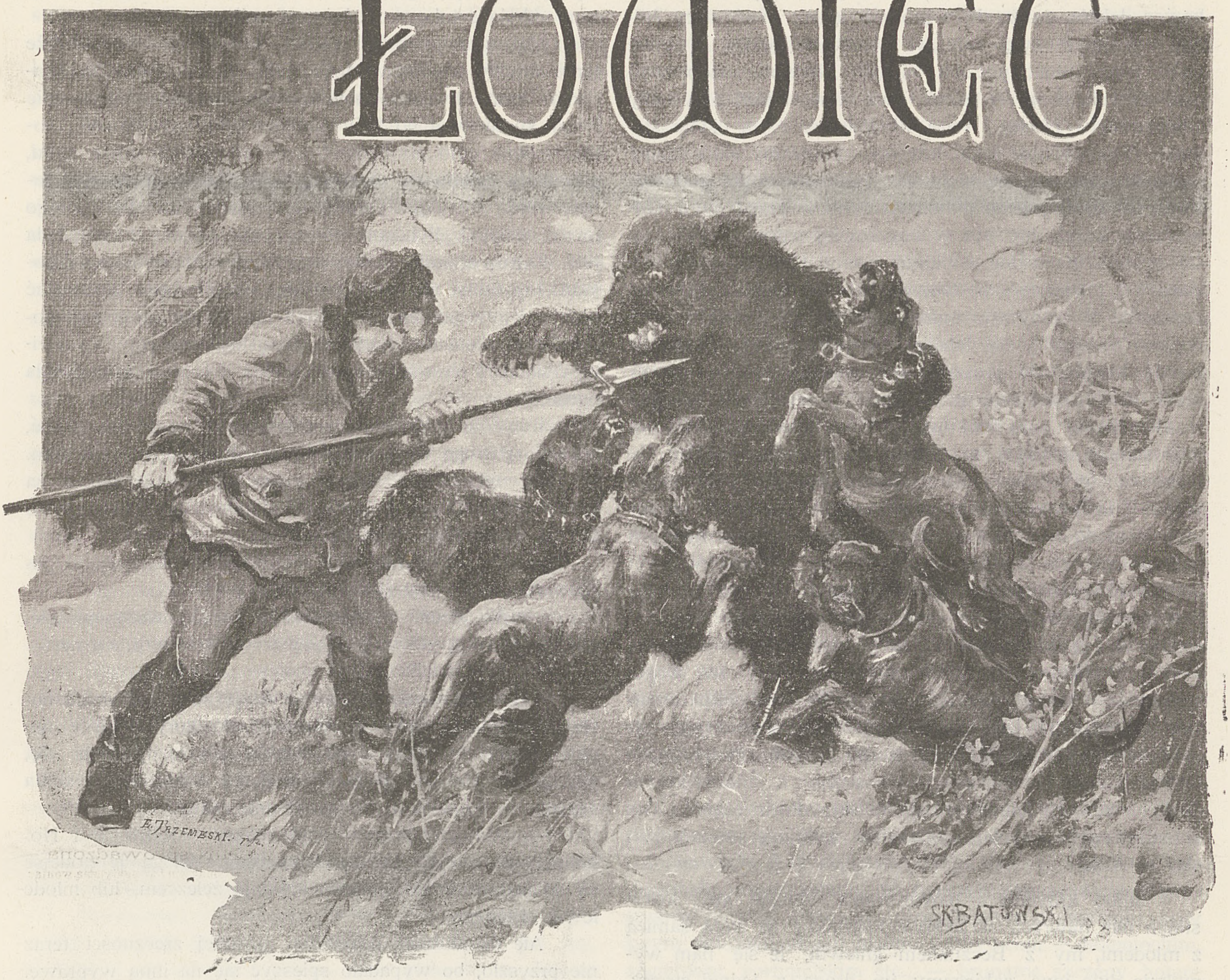
Nr. 18. Lwów, 15 września 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

JAN GRZEGORZEWSKI.

Na łowach w Transwaalu i Kalaharze.

(Dokończenie).

Cofamy się o kilkadziesiąt kroków. Vaalp biegnie jeszcze dalej wstecz, pociąga Giacoma i wskazując mu na daleki punkt po za drzewem, dokąd ma kolem wielkiem zatoczyć i objechać, wraca i rozstawia nas pojedynczo, każdego z osobna.

Gdyśmy się zwrócili frontem ku stadu, z prawej strony o dwa kilometry wznosiło się kilka małych wałów zasp piaszczystych, a jeden taki sam na lewo, na kilometr odległości. Tu mnie wskazano stanowisko z jednym Beczuanem, tam Torellemu z dwoma innymi. Vaalp z Korańczykami, uzbrojonymi w łuki, pozostał na miejscu, i kiedym posuwał się na lewo ku wałowi, oglądając się, widziałem, jak rozsuwając się co kilkanaście i kilkadziesiąt kroków przypadli ku ziemi i czołgać się zaczęli po piasku, jak węże. Myśmy z Beczuanem pochylili się też nieco, ale że rychło dotarliśmy do początku wału, skrywszy się za nim, biegniemy już wyprostowani z dziesięć minut, co sil starczy. Był już prawie koniec zaspy, gdy wlazłszy pod wierzchołek, położyliśmy się w zagłębieniu. Rozglądamy się dokoła, przed nami na jakie trzysta kro-

ków stoi stado jak stało, młodzież jeno rozpierzchła się, krążąc dokoła starszych, z których jeden, snać stary kogut, wyciągnął szyję, potoczył wzrokiem dokoła i utkwił go w jeden punkt, poczem zagłębił olbrzymi dziób swój pod skrzydła, i czyści pióra; dwa inne starsze przysiadły i kąpią się w piasku. Poza nimi dokoła, jak okiem sięgnąć — pusto: ani śladu łowców. Zsuwamy się z zaspy i powoli czołgamy się naprzód. Upłynęło z pół godziny; stado nie dalej jak na półtorasta kroków przed nami. Odwodzimy kurki, aby być w pogotowiu, patrzę, rozglądam się: nikogo nie widać z żadnej strony. Poczynam się niecierpliwić. Beczuan o dziesięć kroków czołga się wciąż naprzód. Wydobywam lunetę: nikogo ze strzelców. Aż dopiero po chwili, na dalekim widnokręgu zarysowuje się postać konna, ale pieszych ani jednego dokoła. Wiatr szedł od Giacoma wprost na stado; stary kogut postąpił w ową stronę parę kroków, nawrócił niespokojnie: dwa inne starsze skoczyły z miejsca. Już miałem zakląć, że ptaki mi z przed nosa pierzchnąć mogą, gdy pada strzał jeden i niebawem trzy inne. Złożyłem się, i raz po raz wypaliłem do nich, korańczyk za mną. Jeden z młodych padł na miejscu, a stado rzuciło się w jednym, wolnym od strzałów kierunku — ku Giacomowi, ale ten już pędził galopem, zagradzając mu drogę, nawróciło więc ku środkowi, i tu się rozbiło na dwie części: młode z samicą pędziły z jednej strony do Giacoma, stary zaś kogut z innym — mimo nas. Gdy tam padło znów kilka strzałów i Beczuanie, jak z pod ziemi nagle wyrastając, pędzili zewsząd z okrzykiem, tu po dwóch wyrzuconych nabojach naszych, świsnęły dwie strzały z łuków korańskich, z których jedna uwięzła w skrzydłach koguta. Tak z nią mknął na przełaj, jak wicher, wzbijając tumany piasku za sobą.

Mimo krzyków i nawoływania Vaalpa, aby wszystkich nas nawrócić w jednym kierunku, za starą samicą z młodemi, my z Beczuanem gniewni, iż się nam wymykają dwa inne, zabiegamy im drogę z jednej strony, gdy Giacomo z drugiej. Widząc to Vaalp, przyskoczy ku nam, chwyta moją flintę i pomijając starego koguta, który z ustrzęgniętą strzałą mknął wciąż jak wiatr, mierzy ku drugiemu, bliżej pędzącemu i celnym strzałem pod łopatkę, zwala go na ziemię. Ptak zerwał się wprawdzie na chwilę, podskoczył znów parę kroków naprzód, ale nareszcie padł ostatecznie, zarywając się w piasek i konwulsyjnem drganiem roztrząsając go dokoła.

Wyrwaliśmy pióra z obu sztuk zabitych, było tego z półtora funta: piękna zdobycz jak na raz jeden; żałujemy z Giacomem, że nam umknęła trzecia sztuka.

— Będzie więcej piór, nie bój się, baas — uspakaja Vaalp: — ten trzeci niedaleko zawlecze się, ma strzałę zatrutą w łopatce.

Słońce już wysoko stało na niebie: apetyt, po całonocnem czuwaniu i parugodzinnych łowach, niezmierny; nie czekając więc towarzyszy i powrotu do obozu, zabieramy się do młodego strusia.

Vaalp z Korańczykiem nacięli go w kilku miejscach i przylgnąwszy do ziemi, pożądliwie jęli wysysać jeszcze nieskrzepłą krew; zaczem wykroili piersi i kawałek uda, nazbierali suchych badyli, i po pół godzinie pieczyste było gotowe. Zaledwie podpieczone, a raczej przysmolone, uśmierzyło głód, ale nie dawało należytego wyobrażenia o tym wybornym, przewyższającym wszelką inną zwierzynę, smaku, jakiego w tydzień potem zaznaliśmy, upiekłszy sami młodą sztukę na rożnie, powoli.

Oczyszczamy pióra z krwi, a Beczuan ubolewa, że teraz straciły one na wartości. To samo stwierdza Giacomo, który kwestyę handlu tego studjował specyalnie i sam sprzedawał po 200 franków funt, gdy dawniej dostać można było po 1.000 fr., co w późnej porze roku, gdy pióra całkowicie wyrosną, mógł prawie dostarczyć jeden struś. W ciągu jednego lub dwóch lat dla dobrego łowca majątek był gotowy na całe życie i to nie lada jaki. Kafrowie atoli, zachęcani przez przedsiębiorców z kolonji Przylądka Dobrej Nadziei, poczęli tam dostarczać pojmane żywcem młode ptaki i jaja, z czego powoli powstała u kolonistów hodowla swojskich strusiów i rozwinęła się dziś na wielką skalę, przez co cena piór spadła ogromnie.

Łowców z Torellim jak nie widać tak nie widać, snać inną drogą wrócili do obozu. Podążamy i my tam. Beczuan wlecze się powoli, noga za nogą, ciągnąc za za sobą całą, z szyją i kawałkiem piersi upierzoną głowę strusia, pozostając ciągle w tyle.

— Co ty wyrabiasz? — pyta go Giacomo — porzucimy cię, bo wstrzymujesz nasz pochód.

— Ale sieur — odpowiada — nie powstrzyma się, gdy baasowi tą głową zdobędę drugie tyle piór, co ma?

— A to jak?

Ten przystanął, wsuwa w szyję strusią kawałek suchego badyla, podnosi ją sterczącą do góry wraz z napierśnikiem, i wdziewa na własną głowę, pochyla się, przyklęka i zaczyna gruchać: zupełne wrażenie gruchania samicy, w odpowiedzi na gruchanie samca.

— W ten sposób — opowiada — Kafrowie i Hotentoci przywabiają strusie w pustyni i mogą je podejść aż do zetknięcia się, zaczem zabijają żelezcem, lub młode łowią arkanem.

Ale do złożenia egzaminu z takiej zręczności teraz nie przyszło, bo wypadało spieszyć się na inną wyprawę. Przybywamy do obozu i podziwiamy *dolce far niente* tych ptaków niebieskich, które się zwą Buszmanami. Leżą obaj krzowce na wznak nieopodal wozu i wsypują sobie w gęby całemi garściami znalezione w mrowisku żywe mrówki, o czarnych łebkach i jasnych brzuszkach: zajadają, aż trzeszczy za uszyma, słuchając obojętnie łajania bura, że z nasączonej w zbiorniku półtrzecia wiadra wody rozdali odrazu bydłu i sami wypili naraz dwa wiadra, a nie troszcząc się o dzień jutrzejszy, zostawili na zapas zaledwie pół wiadra.

— *Oonse koin lijk nie so veel werles maken* (nasi ludzie nie lubią wiele ceregieli) — odpowiadają, cmokając i oblizując się po mrówkach.

W tej chwili nadbiega zadyszany wysłaniec od Torellego, aby spieszyć zaraz ku niemu, bo wprawdzie stadko strusi wymknęło im się i pierzchło, ale wpadnięto na trop stada żyraf i potrzeba wszystkich ludzi do obsadzenia stanowisk.

Pytamy, jak to daleko i w której stronie? Powiada, że łowcy obeszli półkolem poza to miejsce, gdzie ja rano czatowałem na strusie, i dalej na północ, może o dwie godziny drogi stąd.

A no, to niema innej rady, tylko ruszać z całym obozem, bo po cóż u licha zabierać tylko ludzi, a potem wracać po wozy i znów w tym samym kierunku rozpoczynać pochód, skoro tamtędy wypadnie nam droga do

jeziora Ngami. Zwijamy więc obóz, w pół godziny jesteśmy gotowi, ruszamy kłusem z miejsca. Po dwóch godzinach jazdy słyszymy strzały. Rozkazawszy wyprządz i spętać muły i woły, aby się nie płoszyły, sam z Vaalpem pędzę naprzód z flintą i kordelasem, za nami inni.

Po kilku minutach przylatuję na stanowisko w chwili, kiedy stara żyrafa, osaczona ze wszech stron, miotała się w skokach gwałtownych, to pląocząc przednie nogi pomiędzy tylne krótsze (mimo usiłowań utrzymania charakterystycznego a właściwego żyrafom ruchu łap przednich), to wyciągając na olbrzymiej szyi głowę, toczyła nią do koła z trwogą, rozpaczą lub żałością, zwracała ją ku żyrafiątku swemu, które pędziło ku niej o kilkadziesiąt kroków zdala.

Gdy padła znów salwa strzałów, a stara dała skok, oflankowując mnie z Beczuanem i pragnąć wymknąć się tędy, nadlatuje Torelli z koniem, podnosi oszczep do góry, aby nim uderzyć pod łopatkę, lecz zwierzę skokiem szczególnym skręciło w lewo, i z impetem potrąciło bokiem o piersi konia, który wraz z jeźdźcem przewraca się. Był to ostatni wysiłek żyrafy: jeszcze dwa chwiejne, słabe skoki, i runęła całym ciężarem cielska swego na piasek, aż ziemia zadudniała. Nogi i pysk zaryły się w piasku.

Nie zdążyliśmy podejść ku niej, gdy obaj Krzowcy, czatując zdala na jej upadek, lotem strzały wysforowali się naprzód, ominęli wszystkich, przyskoczyli do drgającego jeszcze cielska samicy, przypadli do jej wymion, i dalejże ssać je z pożądliwością niczem niezrównaną.

Śmialiśmy się do rozpuku, patrząc na ich wątłe, nikłe, jakby dziecięce, wynędzniałe i źle rozwinięte fizycznie postacie: jak oni żywiołowo szukali odżywienia, korzystając z pracy innych, w sposób zręczny i złodziejski. I w tym, jak i w wielu innych wypadkach, po raz setny stwierdziliśmy ich odrębną naturę wśród silniejszych od nich wszystkich innych ludów kafrskich i hotentockich.

Korańczycy i Beczuanie, wraz z Vaalpem, choć obyci z tego rodzaju łowami, podziwiali, tak samo jak my, wielkość i siłę zabitego zwierza. Ale stało się to dopiero po pewnej chwili, gdy zabrano się po oporządzeniu łupu; tymczasem uwaga wszystkich zwracała się to na ssących Buszmanów, to znów na stojące lub kręcące się bezradnie żyrafiątko, które nie mogło zrozumieć losu leżącej niedaleko matki, i żdżało ku niej lub obwąchiwało zastępujących mu drogę ludzi. Bur złapał je i chciał zatrzymać, ale że zapowiadało wiele kłopotu w drodze i przypuszczaliśmy, że zdechłoby rychło bez matki, tedy Torelli zabił je wystrzałem z rewolweru; powetowano sobie w ten sposób poprzednią ucieczkę całego stada żyraf, a jednocześnie dostarczono nowego przysmaku dla naszych wygłodzonych żołądków.

Kilkanaście funtów młodej dziczyzny, wnet wykrojonych, jedni rzucili na ogień, gdy inni krzątali się podle matki.

Był to olbrzym biało centkowany, mający długości 5 metrów i 62 centymetry od nosa do ogona; wysokość leżącego już na ziemi brzucha sięgała mi daleko po nad pas. Wszyscy ludzie nasi (z wyjątkiem oczywiście krzowców) przewrócić go nie mogli z boku na bok, musiano tedy krająć go z jednej strony na kawałki, nacinając poprzednio i ściągając skórę również ciężką grubą, zwłaszcza na grzbiecie, do 2 centymetrów. Gdy brzuch nacięto i wypatroszono wnętrzności, rzucili się ku nim znów krzowcy, i poczęli je wysysać, rozkoszując się zawartością, jak myśliwi europejscy przysmakiem bekasim. Za przykładem Buszmanów poszli dopiero Beczuanie i Korańczycy, ale już wywracali wnętrzności, zgrzebywali nożem szlam i zawartość, przypiekali trocha nad ogniem i tak dopiero spożywali.

Z centnar mięsa, zarówno strusiego jak i żyrafiego, kazaliśmy pociąć na wąskie paski i plastry, które następnego dnia wysuszone na słońcu, wyglądały jak słynna kozina ormiańska: stanowiło to biltong — zapas konserwów, na wypadek braku mięsa świeżego.

Mimo zachodzącego słońca krążące nad trupami żyraf stado sępów tak nas niepokoiło, żeśmy musieli je odstraszyć kilku celnemi i skutecznemi strzałami. Zamiast nich nadleciał cały obóz kilkunastu Vaalpów z kobietami, znęconych zdala wysokim słupem dymu ognisk naszych. Była to dla nich prawdziwa uczta, zazdrościły im jej wałęsające się dokoła w nocy hyeny i szakale, które szczekaniem i śmiechem swym długo nam spać nie dawały.

Dobrze jeszcze, że choć wolni byliśmy od niebezpieczniejszego od nich wroga — lwa; może go odstraszał ogień, rozłożony dokoła obozu, jak utrzymywali Buszmanie, a może go wcale nie było w tych okolicach.

Jakkolwiek dopiero pod wieczór dnia następnego wyruszyliśmy w drogę, po znalezieniu zabitego strzałą zatrutą strusia niemniej Vaalpowie, przy których pozostał nasz strzelec, jak zasiedli przy uczcie żyrafiej, tak też nie ruszali się z miejsca; zostawiliśmy ich przy niej i powiedziano nam, że siedzieć będą dopóty, dopóki ostatniej kosteczki nie ogryzą i nie potroszczą, jak to czynią wszyscy dzicy w tej pustyni, mimo wszelkich istniejących między nimi różnic.

Jadąc w dniu następnym przez pustynię bezwodną, rozmawialiśmy o tych różnicach, zarówno fizycznych jak i duchowych. Gdy sepjowe, czarne szczepy kafrów o tyle rozwinęły uspołecznianie, że tworzyły zawsze związki państwowe i siłą gromadną, zorganizowaną stawiały opór swym pokrewnym lub białym zdobywcom — hotentockim, angielskim, portugalskim etc., — brunatne szczepy hotentockie na uspołecznienie takie nie zdobyły się: nie ma tam nietylko instynktów zachowawczych narodowości, ale nawet poczucia potrzeby obrony gromadnej, zorganizowanej. A mimo to, rasowa siła odporności we wszystkich indywiduach hotentockich nie tylko nie jest słabszą, ale bodaj czy nie większą: jednostka jako osobnik rasowy jest tu odporniejszą, zmyślniejszą od kafrskiej. Hotentoci sami to czują i uplastyczniają tę odporność swoją w mnóstwie bajek oryginalnych, gdzie bohaterami ich uosabiającemi przedstawiają zwierzęta, a zwłaszcza zmyślnego szakala.

Dzięki tej właściwości nie tak łatwo wynaradawiają się jak kafrowie.

A w tej mierze dotrzymują im kroku a niekiedy prześcigają Buszmanie, krzowcy, zaliczani przez niektórych do szczepu hotentockiego, ale właściwościami fizycznemi, mową i duchem tak się wyróżniają, że stanowią grupę oddzielną wśród wszystkich ludów afrykańskich tak pierwotnych jak przybyszów najstarożytniejszych i najnowszych. Słabej, wątłej budowy ciała, leniwi do ciężkiej pracy niezbyt grzeszący walecznością, ale przemyślni i pomysłowi, ludzie ci bez żadnych szerszych związków społecznych, nawet bez stałych granic i siedlisk terytoryalnych, — już nietylko rodami, ale częściej rodzinami, sporadycznie wałęsają się wśród innych ludów brunatnej, czarnej i białej rasy, na całej olbrzymiej przestrzeni od Atlantyku do Oceanu Indyjskiego, od Przylądka Do-

brej nadziei prawie ku Jeziorom wielkim ekwatoryalnym i bodaj czy nie dalej. Myślę, że Akkowie i w ogóle ludy karle nietylko znad jeziora Ngami, ale i z Afryki środkowej, od południowej strony równika muszą być zdrobniałą odmianą Buszmanów, albo w bliskiem z nimi zostają pobratymstwie, choć o wiele waleczniejsi od nich. Ktoś słusznie nazwał Buszmanów Cyganami Afryki. Tak samo jak Cyganie nieopatrzni i pragnący korzystać z obcych organizacyi społecznych, podobnież rozproszeni, tak samo wśród obcych ludów, mimo rozproszenia, zachowali swój typ fizyczny i duchowy, swoją mowę, zwyczaje i religię.

Nasi dwaj Buszmanie pozostali wierni swej niefrasobliwej naturze nawet i teraz, kiedy cała karawana uczuwała coraz większe zaniepokojenie swym losem, w obec zupełnego braku wody.

Ciągnęliśmy oto już drugi dzień bez niej. Dokoła nas bezbrzeżna naga pustynia, nic, tylko piasek, palony słońcem podzwrotnikowem: ani najmniejszego krzaczka roślinnego na ziemi, ani jednej chmurki na niebie, mogącej dać słabą nadzieję zwilżenia spalonych warg ludzi i zwierząt naszych.

Mieliśmy południe, od rana nikt nie przełknął łyżki wody, pozostało jej z dnia poprzedniego tylko jeden litr na wypadek ostateczny, a prócz tego pięć sztuk zeschłej samy z nacią, jeszcze suchszą i bardziej zgorzkniałą, której nikt żuć nie chciał.

— Musimy koniecznie zmienić kierunek pochodu i udać się bardziej na wschód — radzi Torelli.

— Jabym mniemał, że bardziej na zachód — powiadam. — Jesteśmy teraz na północ od zwrotnika Koziorożca, a w pobliżu 22° południka; ponieważ dążymy w kierunku od południowego zachodu ku północnemu wschodowi, przeto gdybyśmy się wzięli bardziej na wschód, tobyśmy się rychło zetknęli z tym szlakiem poprzecznym, po którym ciągnął Józef Mac Cabe 19 dni bez wody. Ładna perespektywa! Prawda, przecięlibyśmy tylko ten szlak głodowy i bezwodny, ale kto wie, coby nas i na przecięciu czekało, a w każdym razie musielibyśmy napowrót drogi nakładać. Idąc zaś na zachód, podążymy do zetknięcia się ze szlakiem poprzecznym, idącym na północ od pustyni Umabskiej w kierunku północno-wschodnim ku Ngami, a to szlak przecież dawny nie tylko Boerów trekskich i Schinzer'a z roku 1835-go, ale i późniejszych wędrówek Galton'a z 1861 roku i Andersson'a z 1863 roku, a więc bardzo uczęszczany i wypróbowany. Wprawdzie do zetknięcia się z tym szlakiem potrzebowaliśmy — jak mi się zdaje — parę dni, może 5—7 przy naszem osłabieniu, ale po drodze możemy, za dzień lub za półtora, napotkać okolice solanek i błotnistych stawisk Wielkiej Żyrawy czyli Murutututlu, a nawet wcześniej mieć zbliżony ku nim grunt wilgotny.

Po dłuższej dyskusyi uchwaliliśmy zgodnie wysłać najpierw część ludzi na wschód, druga na zachód — w celu zbadania i przetrząśnięcia okolicy. Nad pierwszymi komendę objął Torelli, nad drugimi ja: po flaszce koniaku przypadło na każdy oddział. Giacomo z resztą pozostał na straży obozu.

Po pięciu godzinach poszukiwania wracam z wiązką zwiędłej samy; po sześciu zjawia się też Torelli z wiadomością hiobową. Oto w odległości dwóch godzin drogi od obozu naszego napotkali oni na przestrzeni milowej rozpierzchłe kościotrupy i szkielety ludzi i wołów, tudzież trzy wozy. Choć szkielety nagie i widocznie objedzone przez sępy i hyeny, ale z dobrego stanu wozów i szmat rzeczy, na nich się znajdujących, wnioskować się godziło, że śmierć z pragnienia i głodu zaskoczyła ludzi i zwierzęta zaledwie przed paru miesącami lub kilku tygodniami Podług szczątków ubrania mniemał Torelli, że musiał to być obóz Trek-Boerów. By to mogły być ofiary walki z krajowcami — nie sądził, bo śladów jej nigdzie widać nie było, a zresztą w takim razie może napastnicy uprowadziliby z sobą kobiety, zwłaszcza młode, a właśnie jeden taki szkielet leżał między innemi. Choć co prawda — jeden wóz był porąbany...

. . . .

. . . .

W nocy spadł deszcz krótki a gwałtowny, orzeźwił karawanę, dał jej możność uzbierania odrobiny wody i wyruszania nazajutrz ku Mururututlu, dalej w kierunku Ngami.



„ROK MYŚLIWCA"

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

„Wrzesień, to jesień". W polach coraz widniej, po świecie coraz chłodniej. Świegot w gromady zbitego ptactwa, ryk bydła i rżenie koni od błonia i rzeki, — oto głosy natury na wrzesień.. W szyszkowych lasach poczyna się jednostajny szum przeciągłego jesiennego wiatru, a w stepach, na jeziorach i stawach w dniu chłodnym słychać już poświst suchych oczeretów. Wrone ptactwo, w gromady zbite, zmienia w tym czasie stanowisko i noclegi swoje; przybliżając się zwolna do mieszkań ludzkich, obsiada hałaśliwie stare drzewa po miedzach, lub małe przylaski.

W naturze jak w dziejach. Kiedy się świat zamai i zaruni liściem i zbożami, to wszystko przysłonione i urocze, a kiedy widno, to i chłodno. Prąd ogrzanego powietrza, który napływał od równika ku biegunowi, łamie się na schyłku lata, zwraca się z północy ku południowi i strychuje zimnymi wiatrami ziemię w kierunku północnych i północno-wschodnich wiatrów.

Lato nie przechodzi przeto u nas zwolna ku jesieni, ale przejście to charakteryzują nawalne piorunowe burze, które zwykle pod koniec żniw przypadają. Nie jest to wyjątkowe ani przypadkowe zjawisko, kiedy aż osobne nazwisko tym piorunowym burzom dano, nazywając je „palikopy".

Wczoraj było jeszcze skwarne lato i gorące żniwo; ale z północy nadciągnęły gromowe chmury i po burzy dziś czuje już każdy, że nastała jesień, bo okna spotniały, bo się wszyscy kupią przy kominku, a w polach wznoszą się słupy białych dymów i świecą wieczorem coraz goretsze polne ognie.

„Palikopa" rozpoczyna te burze, a pomiędzy matkami (to jest pomiędzy 15 sierpnia a 8 września) ubywa już znacznie z każdym dniem ciepła i świat przybiera pozór jesienny. Ztąd też jest przysłowie:

„Między matkami jak się zajesieni,
Najdzie Bartłomiej najprzód trop jeleni

a myśliwy czeka jesiennej rosy i chłodnego tropu. Burza która nawalnymi deszczami i gradami wylewa na równinach, spada już pierwszym śniegiem w wysokich górach i oziębia na kilkadziesiąt mil okolice górom przyległe, a czy z południa, czy z północy wiatr pociągnie, to ciągnie nisko ponad ziemią i czuć już w nim chłód jesienny.

Lasy te zmieniają się z każdym dniem więcej po tych ostatnich letnich burzach. Liść poczyna już polatywać z drzew za pociągiem wiatru, a ten co się jeszcze mocno trzyma, zmienia swoję barwę. Najpiękniejszym kolorytem grają listne lasy w tym czasie, patrząc na nie z oddalenia, możnaby myśleć, że się kwiatami tysiąca odcieni okryły. Najbardziej uderzający kontrast jest pomiędzy krzewami a drzewami leśnemi, pomiędzy barwistą tęczą listnych lasów, a ponurą, rudą zielonością borów, która aż w ciemnoczarną przechodzi. W całym ciągu roku nie mają wielkie krajobrazy nasze tyle gry kolorytu i w tym jedynie czasie przybierają koloryt ciepły i dodatni, choć już rzeczywiście pochłodniało na świecie. Jestto prawdziwa godowa barwa lasów, kiedy liść na drzewach i krzewach więdnieje, a owoce przybierają żywe kolory. Jakoż po ostatnich burzach letnich, na przejściu z lata do jesieni, uspokaja i ściepla się znowu powietrze i nastaje cudowna jesień złota, najpiękniejsza i najstalsza pogoda w ciągu całego roku.

Raz już dawniej skreśliłem ten świat jesiennego oddechu natury; niech mi wolno będzie do niego powrócić.

Coraz ciszej. Wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa,
Ha i jesień, polska jesień!

O! jesieni zło a nasza:
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści. . .

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk odsłonić naraz oku,
To się wznosi, to opada,
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy,
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca bez początku,
Płynie, sunie i przegania,
I otula, i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyszle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarzębatą płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,

Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha,
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota,
Nigdzie głosu, nikt nie śpiewa,
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw' rzuca straże,
W klucz powietrzny zawiązany;
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora;
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona,
Przysporzyła i oddaje,
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone całe staje.
A ta srebrna pól tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno, jakoś smętno,
Czule, rzewnie, i pamiętno;
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bóle ukojone.
A więc słońce złotem ciska,
A złociste łanów ściernie
Srebrną gazą się połyska
I przyświadcza temu wiernie,
W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, ziemia człek i zwierzę.

W tym czasie powszechnego ukojenia w naturze, jest i stan wód na potokach i rzekach w ciągu całego roku najniższy. Bezpiecznie idzie bydło w bród, a ludzie przebywają po rzuconych kładkach, lub brodząc nawet, spławne rzeki. Wody też oczyszczają się od namułów, przybierając właściwy sobie koloryt, i tu rozpoznasz dokładnie górskie, lesne, jeziorne i stepowe wody już po ich barwie. Potoki i rzeki można przejrzeć aż do dna i widzieć nietylko rybę cicho chodzącą, ale nawet w dniu słonecznym jej cień na dnie rzeki, stawu lub jeziora za nią chodzący.

Wszelka ryba płynie w tym czasie pod wodę i szuka głębszych toni, przerzuca się w powietrzu przez mielizny i podwodne groble, a pstrąg przerzuca się nawet przez wydospady i pluśnie często pomiędzy rzecznemi kamieniami, goniąc za łupem. Jak srebrny promień drobnego piorunu, łyska się on w tym rzucie do słońca całemi godzinami nieraz, chcąc się wydobyć na wierzch wodospadu, aż się w końcu znuży albo wydobędzie. Rankami snują się już mgły jesienne, przysłaniając w części uroczy krajobraz. Jak wyspy na morzu pływają pagórki i gaje wierzchem tej powodzi, a gdy słońce podbiegnie, opada mgła obfita i przeciągają lekkie, srebrne, jarząbate chmurki na niebie. Długie cienie łamią się już z południa, a kiedy słońce w nieszpór idzie, stoi bez promieni, jak wielka złota lub pąsowo-złocista kula, w wianuszku lekkich obłoków. Z każdym dniem więcej pusto w polu, bo i ostatnie półkopki znikają i ostatnie kawałki późnego owsa i hreczki. Tu właściwe też pole nastaje na charty, i miło objechać i poszczuć szaraka po obłogu, lub w mglistej dolince puścić charty na liszkę wracającą ode wsi do lasu.

Co mi diabli zławiać tłumem,
Za psim w tropy biedz rozumem?
To mi licha gra!
Nasz brat w polu, świat otwarty.
Dawaj konia! na smycz charty!
A hajże go! ha!

Na koń! na koń! a ochoczo!
Patrz, jak stępem konie kroczą,
Jaki piękny świat!
Więc szeroko zająć światem,
Kot dziś siedzi na kosmatem.
Lub pod skibę padł.

Przypadł, siedzi, pal z harapa!
Ależ palnął! ależ szkapa!
Patrz, jak chart to zna.
Odkąd stepy, odkąd gracze,
I na stepie dojeżdżacze,
Krew tych chartów gra.

Sławne charty ziemi buta,
Hej, gdzie Czehryn, gdzie Sławuta
Każdy zna ten ród,
I niejedno tam zawiedzie,
Lecz z tym chartem człek na przedzie
I nie próżny trud.

Sokół*) poda wichrom skrzydło,
A ta Strzałka**) to pieścidło,
Czy widzisz jak drży?
To rączości i krwi znamie,
Ród nie zwodzi, krew nie kłamie.
Ale ogniem skrzy.

Na trzy smycze pierwsze pole,
Ale gniazdo to sokole,
Więc nie pola licz,
Tylko otwórz dobrze ślepie
I nie prześlep co na stepie,
Tylko gracza życz.

Raźno idą konie szlakiem
I człek radby zlecieć ptakiem,
Bo jak pomkniem w dzicz
I jak ruszym z miejsca kota,
To dziurawą czapkę złota
Za charta mi licz.

W polu człowiek coś tam warty,
Gdy koń pryska, skomlą chaty,
To mi graj w tę grę!

*) Chart.
**) Chart.

Bo na łupie tylko siada
I na nagiej skale składa
Orzeł gniazdo swe.

Zawsze było moje zdanie,
To mi męzkie polowanie,
Gdy człek na koń siadł,
Gdy z sokołem łowów nie ma,
Tem się człowiek jeszcze trzyma,
Że na koniu chwat.

Bo i w koniu, bo i w człeku
Krew dowolna płynie z wieku
Wielką dziejów grą.
Nie zająca, lecz sumaka*)
Bierze u nas już smycz taka,
Tak te charty rwą.

Hajże! hajże! jak tarninka
Kot zaspany dał kominka,
Znać swą sztukę zna;
Znaj sokoła teraz z lotu,
Już go liznął bez obrotu
A hajże go! ha!

Jakoż jest w tym czasie i komu i koło czego pojunaczyć, bo polowanie na łodzi i na błotach trwa jeszcze ciągle w pierwszej połowie miesiąca, a w drugiej połowie poczyna się polowanie z charty w polach i stepach, a z ogary po krzakach, po ścianach i gajach na małego zwierza, a następnie już i na grubego zwierza w knieji, gdzie się w wigilią św. Michała walne rozpoczynają łowy. Jeżeli przeto kiedy, to w tym czasie potrzeba znać dokładnie stanowisko zwierza.

U jeleni, kozłów, danieli i łosiów poczyna się czas rykowiska; wszelkie rogacze tedy odszukują takroczne miejsca rykowiska swego w zwartych, samotnych lasach, przegrodzonych małemi leśnemi polankami, zbierając się w stada u żywych źródeł. Rogacze wpadają wieczorem do stada, a odchodzą rankiem, dziczeją i są bardzo złe w tym czasie. Licząc od początku września, trwa czas rykowiska pięć do sześciu tygodni; więc nietrudno opatrzyć stanowisko rogaczy i odszukać po beku głośnym, który przez całą noc nie ustaje. Gdzie polowanie urządzone, bije się tylko rogacze i szuflaki w tym czasie na upatrzonego.

*) Koza dzika.

Stada dzików przeszły po skończonych żniwach na wielkie lasy i leżą po bagnistych sołotwinach. Sarny trzymają się jeszcze w skrajnych przylaskach, ale rogacze upatrują gęstwiny i przeprowadzają zwolna stadka w zwarte lasy.

Zające mają w początku miesiąca poraz ostatni młode, które stają się zazwyczaj łupem dzikiego ptactwa, znalazłszy się na nagiej ścierni. W czasie pogodnym leżą w owsianej ścierni lub na oraninie, w czas wilgotny pod kosmatemi komeszami, w tarninach i podszytych miedzach.

Wilki rozchodzą się w tym miesiącu z gniazda; lisy powracają z letnich polnych nor do zimowych jam, trzymają się krzaków i wychodzą tylko pod zasłoną mgły na myszkowanie w pola, niedaleko krzaków i podszytych kniei, gdzie rozrodzone gniazda myszy polnych dają i starym i młodym obfite pożywienie.

W tym czasie też odpędzają lisy, borsuki, łasice, kuny, tchórze i żbiki młode od siebie, które odtąd zmieniają miejsce i w części znacznej wracają do wiosek i siedzib ludzkich; mianowicie zaś łasice, kuny, tchórze, i żbiki przebywają odtąd po domach i strychach, po stodołach i spichrzach i po młynach, dokąd sie także wielka część myszy domowych i polnych ściąga, w miarę tego jak po świecie chłodnieje.

Kury leśne, jakoto głuszce, cietrzewie, jarząbki, powracają w tym czasie już do zimowych stanowisk i trzymają się wielkich. samotnych gęstwin. Kuropatwy zapadają w obrosłe zbocza i kapuśniska.

Od połowy września poczyna się ciąg skowronków.

Statystyka ubitej zwierzyny.

C. k. Ministerstwo rolnictwa nadesłało nam wykaz ubitej w roku 1899 zwierzyny we wszystkich krajach Cislitawskich. W N-rze 2-gim, 3-cim i 4-tym bieżącego rocznika „*Łowca*“ podaliśmy podobne zestawienia odnoszące się do roku 1898 i zestawienie z kilku lat ostatnich i odwołujemy się do nich, jak również do uwag, które poczyniliśmy w owym czasie o wartości dat statystycznych do łowiectwa się odnoszących.

Z obecnego wykazu widzimy, że Galicya w roku 1899 dała mniej jeleni niż w roku 1898 (o 18), i niestety znacznie mniej słonek. Za to wszystkie inne gatunki zwierzą reprezentowane są przez większe cyfry niż w roku poprzednim. Zajęcy zabito sześć tysięcy więcej niż w roku poprzedzajacym, kuropatw o pięć tysięcy więcej, głuszczów dwa razy tyle, co w roku poprzednim. Nawet szkodliwej zwierzyny zabito więcej — niedźwiedzi padło o 2 więcej niż w roku poprzedzającym, rysiów aż o 16 więcej, ptactwa szkodliwego dwa razy więcej niż w r. 1898.

W jednym z najbliższych numerów podamy szczegółowe liczby, odnoszące się do każdego powiatu z osobna, jak również załatwimy sprostowania, które nam na naszą prośbę raczyli nadesłać członkowie towarzystwa. Sprostowań tych małą tylko otrzymaliśmy liczbę — spodziewamy się, że obecnie otrzymamy ich więcej.

Kraje koronne	Pożyteczna zwierzyna									
	Jelenie	Daniele	Sarny	Kozice	Dziki	Zające	Króliki	Świstaki	Głuszce	Cietrzewie
Austrya dolna	3.673	277	19.669	357	453	253.370	43.032	—	527	551
Austrya górna	2.407	25	15.129	860	—	76.650	99	—	514	197
Salzburg	901	—	2.790	1.812	—	5.034	—	11	310	270
Styrya	5.763	57	12.143	2.501	—	73.401	118	—	2.185	1.426
Karyntya	916	40	5.359	887	—	10.847	10	—	742	624
Kraina	15	—	3.355	255	—	10.633	—	—	202	50
Pobrzeże	—	—	364	49	—	11.394	10	—	12	11
Tyrol	960	—	2.833	2.931	—	12.675	50	649	898	1.723
Czechy	2.728	2.347	17.015	—	748	504.497	31.411	—	1.266	6.066
Morawa	1.167	579	13.354	—	405	339.361	46.771	—	15	444
Śląsk	319	—	3.559	—	1	35.041	683	—	58	23
Galicya	145	9	6.171	—	1.288	57.507	7	—	68	454
Bukowina	192	—	301	—	78	6.726	—	—	46	36
Razem 1899	19.186	3.334	102.042	9.652	2.973	1,397.136	122.191	660	6.843	11.875
Razem 1898	14.385	2.488	90.600	8.965	2.481	1,412.300	120.640	607	6.563	13.000

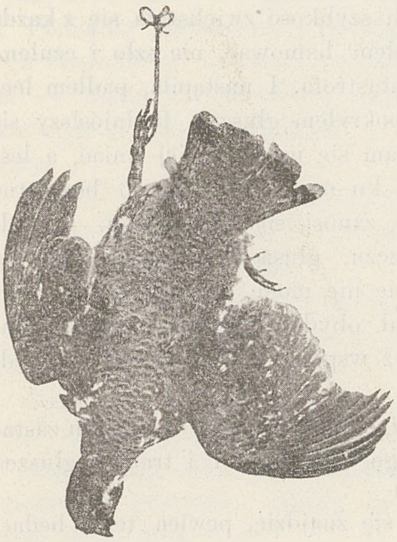
Kraje koronne	Pożyteczna zwierzyna									
	Jarząbki	Pardwy	Kamionki	Bażanty	Kuropatwy	Przepiórki	Słonki	Bekasy	Gęsi dz	Kaczki dz.
Austrya dolna	269	5	68	30.527	226.408	6.855	1.375	138	387	5.242
Austrya górna	410	19	—	16.370	45.328	509	406	59	29	3.430
Salzburg	278	24	2	440	1.096	57	85	8	5	601
Styrya	2.999	252	57	29.774	37.892	3.723	2.372	476	280	3.230
Karyntya	1.902	121	86	836	4.110	576	281	134	24	1.303
Kraina	1.099	14	102	98	3.668	1.988	1.161	712	261	1.753
Pobrzeże	66	8	1.477	87	3.852	2.562	1.895	392	105	1.088
Tyrol	1.896	1.482	1.714	—	4.345	2.180	851	320	21	1.776
Czechy	919	—	—	60.007	587.841	13.118	2.063	548	3.026	13.365
Morawa	172	—	—	43.922	421.938	10.834	1.170	223	227	7.313
Śląsk	43	—	—	3.156	24.586	617	376	94	3	2.950
Galicya	841	—	—	4.566	26.228	23.218	2.960	8.369	316	13.362
Bukowina	860	—	—	—	129	3.142	331	230	63	754
Razem 1899	11.754	1.925	3.506	189.783	1,387.421	69.379	15.326	11.703	4.747	56.167
Razem 1898	11.319	1.934	3.468	204.000	1,181.400	59.800	16.900	11.100	2.124	63.069

Kraje koronne	Drapieżna zwierzyna												
	Niedz.	Wilki	Rysie	Lisy	Kuny	Tchórze	Wydry	Żbiki	Borsuki	Orły	Puchacze	Jastrzębie Krogulce	Sowy
Austrya dolna	—	—	—	5.050	2.292	4.325	146	—	551	23	86	26.810	3.985
Austrya górna	—	—	—	2.208	842	1.670	30	—	494	1	9	9.628	1.248
Salzburg	—	—	—	1.258	403	171	8	6	99	2	11	1.232	—
Styrya	—	—	—	4.329	1.235	1.652	141	(?)855	626	18	352	11.002	2.186
Karyntya	—	—	—	2.493	557	216	44	—	225	2	36	2.309	354
Kraina	2	—	—	1.613	469	86	54	70	312	11	56	2.362	320
Pobrzeże	3	—	—	696	300	67	7	21	182	15	24	448	145
Tyrol	1	—	—	3.413	740	159	28	—	578	21	59	1.900	290
Czechy	—	—	—	3.519	3.887	16.926	822	—	2.274	—	174	55.036	[1])11.419
Morawa	—	—	—	2.037	11.422	8.405	105	12	153	20	208	16.323	[1])46.513
Śląsk	—	—	—	528	286	1.012	30	34	50	5	5	4.903	531
Galicya	18	14	46	6.527	558	742	247	—	467	154	107	7.555	1.212
Bukowina	7	35	3	608	369	120	45	20	117	52	52	1.288	111
Razem 1899	31	49	49	34.279	23.360	35.551	1.707	1.018	6.128	289	1.226	140.796	?
Razem 1898	29	45	39	29.700	15.515	28.700	1.240	1.035	3.821	280	1.097	105.600	?

[1]) Także sroki i wrony.

Nasze dwa ranki w Alpach.

Przez A. SUMIŃSKIEGO.



Maj. — Woń cudna w powietrzu, zieloność wiosenna, śpiew ptaków, wszędzie kwiaty — kochać i żyć...

Nie tak w Alpach, tam pagóry zasiedziałe od wieków w białych jeszcze szatach, i choć szemrzą potoki wezbrane, choć śnieg miękki i krótkie już jego chwile, choć modrzewie nieśmiało pączki swe wypuszczają, wiosna jeszcze spóźniona.

Głuszce dawno już pieśń miłosną pieją, bełkocząc namiętnie, a załotne kury, coraz to rzadziej gdakają, toki się kończą.

Noc, lecz noc jasna, gwiazdki błyszczą, a do koła poważna cisza.

Noga po kolana w śnieg miękki i mokry zapada, a latarnia mego przewodnika migoce, wysyłając słabe swe promienie na wszystkie strony. Pniemy się coraz to wyżej-płuca pracują, jak miechy kowalskie, a ciszę nocną przerywa szum potoków. W lesie ciemno, a na tle nieba rysują się niebotyczne sylwetki świerków i modrzewi.

W tem stajemy, mój przewodnik podnosi kawałek gazety, znak, że stąd niedaleko gra głuszec, wczoraj dokładnie wysłuchany. — Od wschodu brzask, natura się budzi, a choć ciemno jeszcze, głuszec, otrzepnąwszy pióra, zaczyna pieśń, która już krótko trwa w tej porze i ptak ostrożniejszy, niż z początkiem toków.

Zaczynamy skakać, już słychać go wyraźnie, a śpiewa bez przerwy. Część pierwsza: puka ostrożnie raz, potem drugi, trzeci, jeszcze próbuje i już szybko raz za razem kilka razy bełkocze, jeden głośniejszy odgłos, jakby korek od butelki odetkał, i część druga metaliczna, syczenie, podczas której głuchy i ślepy. — Jesteśmy blisko, jeszcze go nie widzę, gra cudownie, bez przerwy.

O jakie trzydzieści kroków przedemną, zauważyłem na modrzewiu, dwie ciemne plamy, jedna z nich głuszec być musi, lecz która?

Przepuszczam, że ta wyższa, obserwuję jakiś czas, nieruchoma, więc do drugiej się zwracam i teraz ruszył się on, poznaję dokładne kontury wachlarza, bieli się podszewka, więc tyłem do mnie. A gra — cudownie. Składam się zatem, że go mam dobrze na muszce, ściągnięciem cyngla przerywam tę ciszę leśną i pieśń miłości na zawsze. Głuszec z łoskotem i trzaskiem, jak worek, spada pionowo i trzepie się na ziemi po raz ostatni. — Wspaniała zwierzyna i wspaniała nagroda za trudy.

W dwóch skokach jestem przy nim, podnoszę, oglądam z radością, a oddawszy go leśniczemu, pędzę po drugiego. Nie idziemy, lecz biegniemy, coraz to jaśniej, mijamy pagór po pagórze, byle szybko, byle na czas. — Przystajemy, cicho, tylko tam, hen z daleka, z najwyższych szczytów dochodzą odgłosy toków cietrzewia.

Znów dalej pędzimy. W tem kura z trzaskiem i krzykiem zrywa się przed nami. Stajemy, musimy być blisko seraju.

I tak jest. Z następnego kłąbu gęstych świerków, poprzedzierzganych modrzewiami, słychać już tę cichą piękną pieśń. Gra, ale z przerwami. Ostrożnie zaczynam skakać po trzy duże kroki i stoję, jak z kamienia, a słyszę bicie własnego serca. — W gąszczach świerkowych boję się zaczepić o gałąź, krok jeden tylko robię, często schylony w pół, byle ostrożniej a bliżej i nie spłoszyć. Już jestem tuż. W tem zobaczyłem go w całym majestacie na odnodze modrzewia, wachlarz rozpięty, szyja wyciągnięta ku górze, skrzydła opuszczone, gra. — Jeszcze krok, w tem zerwał się. Przebóg! pójdzie, struchlałem, czym go nie spłoszył. Nie — usiadł i gra dalej, to namiętność porwała go za ostrzegającą kurą, której nie zrozumiał. Zbliżyłem się, znów siedzi na modrzewiu i gra upornie. Jasno już zupełnie, widzę wszystkie kolory i słyszę pieśń, używam rozkoszy myśliwskiej w całem tego słowa znaczeniu... Czarujące! W tem przestał, wachlarz złożył, lecz i ja byłem już przygotowany, strzeliłem. Z trzaskiem spada pionowo na ziemię, a ja już przy nim, podziwiam wachlarz, i niosę drugie trofeum do mego przewodnika, który zatrzymał się w oddali i teraz zdąża ku mnie ze złomkiem jodłowym w ręku.

Dopiero czwarta dochodzi, rozłożywszy więc płaszcz na ziemi, wyciągam się na nim, kładąc moje dwa głuszce przy sobie, nie mogąc się niemi dość nacieszyć. Cudowny ranek!

W tem zdala echo strzału niesie wiadomość, że i szwagier mój nie próżnuje w swoim rewirze. Brawo!

Nazajutrz noc ciemna, że oko wykol, chmury i ciepło, jak przed deszczem — źle. No ale, że komu w drogę, temu czas, więc idziemy.

Z początku droga przez wieś dobra, gdyśmy jednak weszli w las, zaczęliśmy się od razu porządnie wspinać, coraz to wyżej i wyżej, ciepło i cicho, śniegu więcej, pochód dobrze męczący. Czuję już w nogach tę podróż, a zgrzany jestem, jak mysz. A toć to trwa wieczność, przytem ciemno, latarni nie ma, bo przewodnik na księżyc liczył, a tu czarno w lesie, że kilka razy jużem się potknął o kłodę, to o kamień zaryty w śniegu, a raz ledwiem się nie przewrócił na niewidocznym pniu. Nareszcie stanęliśmy u kresu.

Nadsłuchujemy cicho, tylko potok mruczy i rzuca się spieniony; tak przeszkadza do słuchania, że rozpacz.

Powoli już ciemności ustępują, sylwetki drzew rysują się wyraźniej, w dali wyłaniają się kontury szczytów, a tu nic nie słychać prócz potoku. Daremnie leśniczy wygina się, nadsłuchuje, cicho.

Wątpliwości co do powodzenia dzisiejszych łowów zaczynają się potajemnie wkradać do serca. W tem leśniczy zrywa się i wzywa by iść dalej, bo jeżeli tu nie gra, to musi grać koło wielkiego wyrębu, jeszcze zdążymy. To „musi“ u tych ludzi jest, jak ewangelia, i ten tylko uwierzy, kto im się przypatrzył i wie, jak można na słowie ich polegać. — Otucha we mnie wstąpiła, ruszamy znów pod górę. Nie daleko jednak było. Leśniczy nagle przystanął i cicho rzekł do mnie.

Jest, gra, ale niedobrze, — jest to kogut stary i ostrożny, już raz do niego strzelano w tym sezonie, tem ostrożniejszy, trzeba zaraz stąd skakać, tylko ostrożnie. — Zaczęliśmy tedy podskoki. Grał, ale były to ciągłe próby, właściwej pieśni nie było. Zaczynał i urywał, — a stanie wtedy zdaje się wiecznością i biada, gdy źle sobie stanąć, bo nie wytrzymasz i spłoszysz ptaka. Skakaliśmy pod górę w śniegu, brzegiem lasu, koło wyrębu. I dobrze patrzeć było trzeba, bo odpadki z drzewa, kłody, wióry z wyrębu co moment pod nogi się nawijały.

Płuca moje pracowały, jak maszyna — tchu chwilami brakowało, zmęczenie szalone, pot kroplami z pod kapelusza cieknie, serce tłucze się w piersi głośno, emocya straszna, a jasno zupełnie. — Tak dotarliśmy nareszcie do głuszca, przykucnęliśmy pod modrzewiem.

Począłem się ostrożnie rozglądać i wreszcie zobaczyłem go pionowo nad sobą w pełnej grze — siedział na gałęzi u samego wierzchołka. Śliczny obrazek — czarujący. Teraz muszę dla dokładnego przedstawienia poznać szanownego czytelnika z położeniem. Siedzę skurczony pod modrzewiem, przy lesie, za plecami mam wyrąb, który ma wygląd równi pochyłej, ale bardzo pochyłej, na samym zaś dole tejże, zaczyna się zagajnik, gęsty i zwarty. Wracam do rzeczy. Złożyłem się do mojego głuszca, ale strzelić nie mogłem, gdyż gałęź sąsiedniego świerka przysłaniała mi ptaka a potem, strzał z tych kuczek pionowo był bardzo niewygodny.

Odłożywszy, pytam leśniczego, czy nie mógłbym odskoczyć na wyrąb, dostałem jednak upominającą odpowiedź, że pod żadnym warunkiem i że stąd strzelać muszę.

Na takie dictum plan zrobiłem szybko, bez narady generalnego sztabu w osobie leśniczego, zerwałem się, w odpowiedniej chwili złożyłem i choć dobrze jeszcze nie było, strzeliłem. Głuszec z hałasem począł spadać, lecz nie pionowo, ale skośnie i na wyrąb za wzniesienie ciężko spadł. Czułem, że nie śmiertelnie trafiony, to też z pospiechem pobiegłem ku niemu i o dziwo, mój głuszec biegnie na dół, co może, utykając i potykając się co chwila.

Mogłem poprawić, lecz bałem się, że wachlarz sobie zepsuję. Więc bez długich namysłów, puściłem się za nim w pogoń. I teraz rozpoczął się gon bajeczny. Jak żyję tak nie biegłem. Początkowa odległość między nami ze trzydziestu kroków zredukowała się do zaledwie trzech, czterech bardzo prędko. Moja szybkość zwiększała się z każdą chwilą mimo woli, chciałem hamować, nie szło i czułem, że lada chwila nastąpi katastrofa. I nastąpiła, padłem lecz tak szczęśliwie, że sobą pokryłem głuszca. Podniósłszy się z swoją zdobyczą, zaczynam się najokropniej śmiać, a leśniczy z wolna schodzący ku mnie, któremu to bezpłatne przedstawienie urządziłem, zanosi się od śmiechu. — Odpoczywam na moim płaszczu, głuszec leży przy nim, ale ciągle jeszcze uspokoić się nie mogę, bo też to był gon! Głuszec przestrzelone miał obydwa skrzydła i nogę, dlatego się tak potykał, gdyż wspierał się na łokciu i na jednej tylko zdrowej nodze.

Deszcz zaczął padać, ruszyliśmy do domu. Tu zastałem szwagra lamentującego, bo strzelił i trafił a głuszca znaleść nie mógł.

Pocieszałem go, że się znajdzie, pewien tego będąc, gdyż z opowiadania widziałem, że był trafiony, a ludzie tamtejsi bardzo sumienni, i tak długo szukają, aż i znajdą. Spodziewał się w każdym razie wiadomości nie przed dziesiątą. On w humorze bardzo nieszczególnym, co mu się nie dziwię zupełnie, ja współczuciem przygnębiony, siedliśmy do śniadania przy otwartem oknie. Godzina była zaledwie siódma.

Jeszcze jedliśmy w najlepsze, gdy kroki i głośne „Weidmannsheil“ z dołu piorunem zwabiło nas do okna. Tam stał przewodnik mego szwagra z uśmiechniętą twarzą i głuszcem wspaniałym w ręku. — Radość więc ogólna i humory złote, bo to ad notam, że mimo doskonale ułożonej służby leśnej, nie zawsze musi się spotkać z głuszcem Ja sam już dwa ranki z rzędu w tym samym rewirze, ani widziałem, ani słyszałem głuszca.

Około południa siedzieliśmy w pociągu pospiesznym ku Wiedniowi, wioząc trofea i wspomnienie niezatarte dwóch ranków cudownie w Alpach spędzonych.



KORESPONDENCYE.

Z powiatu Liskiego.

Z końcem czerwca r. b. zawitał do naszego powiatu, na wizytacyę jeden z dygnitarzy duchownych.

Pomiędzy godniejszemi przyjęciami, jakie w połączeniu z biesiadnemi ucztami, spotkały czcigodnego dygnitarza — należy z naciskiem zanotować fakt przyjęcia u pewnego gr. kat. proboszcza, z okolicy tuż pod Baligrodem.

„Menu“ obiadu było nadzwyczaj urozmaicone, a składały się na nie — już nie wiem, czy z rożna, czy w dzikim sosie — podane zające!....

Całe szczęście, że na tym sławnym obiedzie nie było żadnego reprezentanta c. k. politycznej władzy powiatowej.

Byłoby to w każdym razie ciekawe — czy taki powiatowy dygnitarz polityczny strawiłby zająca?....

Jako drugi fakt przestrzegania ustawy łowieckiej w tutejszym powiecie, należy podnieść: zabicie jelenia w dniu 28-go lipca b. r.!

Szczęśliwcem tym był leśny z Rostok dołnych, majętności p. Leibusia Grossingera.

Właściciel ten, nie będąc myśliwym z obawy przed wypadkiem i z wrodzonego wstrętu do broni palnej, pozwala natomiast strzelać wszystko swej służbie leśnej ażeby powetować tejże szczupłą jej płacę roczną, (płaci bowiem tylko 120 koron) uzyskanymi dochodami ze sprzedaży ubitej zwierzyny.

Leśniczy korzysta też, jak może i bije co mu pod lufę wpadnie, byle tylko zwiększyć swe dochody.

W każdym razie z ubitym jeleniem udało im się o tyle, iż mięso zjedli dygnitarze w Baligrodzie, co do skóry zaś i rogów, to spowodowałem skonfiskowanie ich w dniu 31. lipca r. b., na targu tygodniowym w Lisku.

Zwierzchność gminy miasta Liska odstąpiła następnie powyższą sprawę c. k. Starostwu, za co został leśny zasądzonym na grzywnę w kwocie 50 koron.

Leśnym pozostał jednak nadal i teraz dopiero będzie polował, by stratę skóry, rogów i grzywny powetować!

W obec tego rozesłał Wydział powiatowy okólnik do gmin wiejskich, w którym poucza gminy o czasie ochronnym i świadectwach pochodzenia ubitej zwierzyny.

Jeden egzemplarz okólnika przesłał również Wydział powiatowy c. k. Starostwu, z prośbą o wydanie obostrzeń i odpowiednich zarządzeń.

W ogóle w Liskim powiecie panują anormalne stosunki łowieckie.

Myśliwych więcej, niż zwierzyny, przeważna zaś część nawet inteligentnych nemrodów, nie szanuje czasu ochronnego, lub uświęconych ustawą kóz i łań.

Czego można, w obec takiego przykładu wymagać od kłusowników, lub tych, którzy dla zarobku polują?

Zaiste nie do uwierzenia, lecz prawdziwe i dlatego godzi się podnieść, jako przeciwstawienie do postępowania tutejszych inteligentnych myśliwych.

Włościanin, Mikołaj Stańko z Krywego ad Cisna, wydzierżawił polowanie gminne z początkiem bieżącego roku. Po zadosyćuczynieniu wymogom ustawy łowieckiej, t. j. otrzymaniu karty łowieckiej, zaprzysiężeniu strażnika łowieckiego i t. p. — ten całkiem zwyczajny góral, Stańko, przyłapuje na swem terytoryum, pewnego rządcę znacznych przyległych dóbr, a zatem: „inteligentnego nemroda“, który polował:

1) w niedzielę;
2) w maju, na słonki;
3) na obcem terytoryum.

Bez komentarzy.

Jakkolwiek sprawę powyższą oddał Stańko c. k. Starostwu do osądzenia — to jednak żal mi go bardzo, z powodu takiego sąsiedztwa!

Artur Ślaski.

Okólnik Wydziału przytaczamy w całości, z tego powodu, że jest to pierwszy wypadek, który doszedł do naszej wiadomości, że Wydział powiatowy w sprawie ochrony zwierzyny i przestrzegania ustawy łowieckiej, poczynił podobne kroki. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy się przekonali, że inne Wydziały powiatowe, o ile to oczywiście jest w ich mocy, ze swojej strony, władzom politycznym w sprawie ochrony zwierzyny pomogły choćby przez informacye i wskazówki organom antonomicznym podane.

Okólnik opiewa:

Lisko, dnia 4. sierpnia 1900.

L. 1443.

Do
Zwierzchności gminny miasta
w . . . . .

Doszło do wiadomości Wydziału powiatowego, iż w Lisku podczas targu dnia 31. lipca r. b. była publicznie sprzedawaną skóra jelenia wraz z głową i rogami, który został ubity w czasie ochronnym. Skóra ta i rogi zostały następnie na interwencyę organu Wydziału powiatowego skonfiskowane i w myśl §. 73 ustawy łowieckiej z dnia 5. marca 1897 Dz. u. kr. Nr. 71. przesłane c. k. politycznej Władzy powiatowej, jako Władzy kompetentnej do wydawania orzeczeń i kar wypływających z przekroczeń powyższej ustawy.

W obec tego poucza sie Zwierzchność gminną, iż wedle postanowienia §. 33. ustawy łowieckiej „nie wolno nikomu łowić lub zabijać zwierzyny łownej w czasie ochronnym“, który dla poszczególnego rodzaju zwierzyny jest oznaczony w §. 33. pomienionej ustawy. Według zaś postanowień §. 36. powołanej ustawy „sprzedaż zwierzyny łownej przez handlarzy odbywać się może tylko za okazaniem świadectwa jej pochodzenia. Świadectwo takie z podaniem gatunku i ilości zwierzyny wydawać będą uprawnieni do wykonywania prawa polowania, lub ich pełnomocnicy ze swojego okręgu myśliwskiego“. Wzór takiego świadectwa jest podany w dz. u. kr. z 15. maja 1898 Nr. 21, którym wydano rozporządzenie c. k. Namiestnictwa z 1. Kwietnia 1898 L. 2943 zawierające postanowienia wykonawcze do ustawy łowieckiej.

Tak więc § 33. i 36. jak w ogóle ustawa łowiecka ma na celu podniesienia stanu zwierzyny łownej, a w szczególności przez zaprowadzenie czasu ochronnego — zapobiega wystrzeliwaniu lub łowieniu zwierzyny w czasie jej rozpłodowym, jak niemniej przez ustanowienie świadectw pochodzenia ubitej lub złowionej zwierzyny — zapobiega kłusownictwu, gdyż handlarze z obawy konfiskaty zwierzyny — nie kupią takowej bez świadectwa sprawdzenia od nieuprawnionego do wykonywania prawa polowania.

W obec tego poleca się Zwierzchności gminnej pod osobistą odpowiedzialnością Naczelnika gminy, ażeby w myśl §. 27. ustawy gminnej, ustęp dokładny w tym kierunku nadzór nad targami rozciągnęła, a w szczególności pouczyła swe organa policyjne, iż w czasie ochronnym poszczególnych gatunków zwierzyny łownej, oraz bez świadectwa pochodzenia tejże — nie wolno handlarzom kupować lub sprzedawać jakiejkolwiek zwierzyny łownej a to pod utratą rzeczonego przedmiotu i konsekwencyi wypływających z przekroczeń powyższej ustawy.

Prezes Rady powiatowej: *L. Ramult*, m. p.

Sekretarz, *Artur Ślaski*, m. p.

Niechobr, leśnictwo, d. 8. sierpnia 1900.

Będąc czytelnikiem i prenumeratorem tak dobrego pisma myśliwskiego, jakim jest „*Łowiec*“, czuję się w obowiązku słów kilka skreślić z tutejszych lasów.

* * *

Lasy Niechobrza i Boguchwały mają cudne położenie — obejmują do 1800 morgów łącznej przestrzeni i tworzą krajobraz górski, albowiem teren silnie pagórkowaty, pełen głębokich jarów i wąwozów, poprzerzynany potokami, które szemrzą, jakby sobie wiecznie miały coś do powiedzenia.

Las „Babica“ i czudecki tworzy granicę, od północno-zachodniej strony, zaś w południowej znajdują się lasy Zgłobieńskie.

Właścicielem tutejszym jest p. Maurycy Straszewski, profesor Akademii Jagielońskiej, troszczący się niezwykle stanem lasu i stanem zwierzyny.

Do 800 morgów zajmuje las wysoki, mieszany, przeważnie jodłowy — reszta przypada na bardzo piękne kultury i zapusty. W tym roku, pomimo niesprzyjającej wiosny, zdołałem zakulturować 80 morgów posadem mieszanym. Myślałem, że mróz 16. maja i siedmiotygodniowa posucha, oddziałają szkodliwie na małe sadzonki, lecz przerachowawszy z kilkadziesiąt rządków, skonstatowałem z radością zamiłowanego leśnika, 70% sadzonek, które się ładnie przyjęły.

Zwiedzającym las podobały się również i szkółki, których jest trzy. Przeszkółkowałem modrzew, świerka — posiew sosny zwyczajnej (*Pinus silvestris*) i sosny czarnej (*P. nigra*).

Położenie lasów tutejszych jest bardzo sprzyjające rozmnażaniu się zwierzyny. Pomimo, że w tych lasach ze szkodą olbrzymią dla pożytecznych stworzeń leśnych, nie ma wyznaczonego strzałowego za strzelanie ptaków drapieżnych i czworonogich złodziejów w lisiej skórze, możemy się poszczycić dość dobrą ilością sarn i zajęcy, żyjących obok wielkiej ilości lisów.

Celem przekonania się, co znajduje się w jednej z napotkanych nor znalazłem z przykrością, po rozkopaniu jej z leśnym Wojciechem Żyburą, sześć par cewek sarnich, kawałek tułowia koźlęcia, dwie głowy zajęcze i wiele piór rozmaitych, w których rozpoznałem pióra bażanta, drozda, kosa i wiele innych.

Zabiliśmy dotychczas dwa lisy, 11 wron, 16 srok, 3 psy i jednego kota.

Dobrzeby było, gdyby wyznaczonem było choćby małe strzałowe, równające się wysokości ceny strzału, wówczas leśni nie potrzebując kupować amunicyi ze swojej skromniutkiej pensyi, przetrzebiliby w krótkim czasie tych rabusiów, czyhających na biedną zwierzynę.

Sarny przebywają w gęstych zaroślach, zaś wieczorem wychodzą na żer na graniczące z lasem pola, po kilkanaście sztuk w rudlu. Po zrębach, a szczególnie na tak zwanej tutaj „Wierzchowinie“, odbywało się w lipcu prawdziwe wesele.

Nieraz siedząc na ławeczce, z której widok rozciąga się w promieniu trzymilowym obserwowałem biedną siutę, za którą kilka roznamiętnionych, głośno sapiących kozłów pędziło.

Zajęcy stosunkowo nie wiele — ale są. Dzisiaj widziałem zająca nie większego od małego kociaka. Bażantów mamy kilka. Przyleciały do nas ze sąsiedniego lasu Babickiego, w którym znajduje się bażantarnia. Dni temu kilka obaczyłem kwokę z dziesięcioma kurczątkami.

Waleczność zajęczą miałem sposobność skonstatować w jednym przypadku, który opisuję.

Z końcem lipca idąc powoli linią lasową, usłyszałem szelest, który wydał mi się podejrzanym. Staję — zdejmuję strzelbę z ramienia, odciągam kurki i wyczekuję wyjścia kozła lub lisa, gdyż było to wieczorem. Nagle wyskakuje jeden zając, za nim drugi — stają słupka vis à vis siebie i poczynają się bić skokami po pysku. Były odemnie nie dalej jak na odległość dwudziestu kroków. Ciekawością zdjęty, jak ta bójka się ukończy, stałem cicho, rozmyślając nad przyczyną tej bitki. Prawdopodobnie jeden zając „nadepłał“ na honor drugiemu i ten go wyzwał na pojedynek. Tymczasem zajączki biły się dalej, to odskakując, to przypadając do siebie i na nowo „krzyżując“ skoki.

W jednem z tych „złożeń“, silniejszy uchwycił strugami przeciwnika, gdyż ten począł wrzeszczeć i kniaziać poczem zaczął uciekać w moją stronę. Zbliżył się na dziesięć kroków. Silniejszy łapie uciekiniera, przewraca go na grzbiet i poczyna go bić. Bity wrzeszczy, prycha, ale uwolnić się nie może, gdyż na nim siedzi mocniejszy i nie uważa na błaganie o łaskę pobitego. W tem wyskakuje trzeci zając z krzaków, a bijący się, spłoszeni, pomknęli w krzaki, znikając mi z oczów.

Że żaden przyzwoity pojedynek nie obchodzi się bez świadków, to też uważam siebie za takiego, przyczem zadowolony jestem, że mogłem być obserwatorem tego zajścia, podobno w czasie parkotni na porządku dziennym będącego.

Tadeusz Piotrowski.

Sprawozdania łowieckie.

Jasło, 24. sierpnia 1900.

Przesyłam wykaz ubitej zwierzyny i ptactwa w Krajowicach, powiat Jasło, na obsarze 760 Ha, (w czem lasu około 350 Ha.), w czasie od 16. sierpnia 1899 do 15. sierpnia 1900. A mianowicie:

4 rogacze (3 na podchodnego), 30 zajęcy (19 gachów a 11 zajęczyc), 17 kuropatw, 26 chruścieli, 8 przepiórek, 3 kaczki, 7 lisów, 3 borsuki, 1 tumak, 14 psów, 8 kotów, 1 jastrząb, 31 wron, 27 srok, razem 180 sztuk, a nadto zniszczono gniazd wronich i sroczych 15 z 47 jajami lub młodymi i jedno gniazdo jastrzębie z 4 jajami. Znaleziono zaś 3 zające i 2 siuty zdechłe — wstanie rozkładu.

K. Macudziński,
członek galic. Tow. Łow.

Kronika.

ZMARLI.

Leon Pankiewicz, emerytowany Zarządca lasów i członek Rady powiatowej niżańskiej, długoletni i wierny członek naszego Towarzystwa, zmarł dnia 9-go sierpnia b. r. w Przemyślu, przeżywszy lat 66. Spokój jego popiołom!

Wsprawie trucia większych drapieżników umieszcza leśniczy Paulnstenier w czasopiśmie „Weidmannsheil“ następujące uwagi; Jako myśliwy duszą i ciałem używam najchętniej strzelby w tym celu, aby nieprzyjaciół naszej zwierzyny pożytecznej wysyłać tam, skąd się nie wraca. Strzelba nie wystarcza jednak do uchronienia sarny, kozicy i jelenia przed napadami drapieżników, szczególniej w ciężko dostępnych rewirach górskich, w kniejach dziewiczych — tutaj pozostaje myśliwemu tylko jeden środek, to jest strychnina, gdy śniegi i lody pokryją ziemię. Widzę, jak niejeden z myśliwych, którzy stosunków górskich nie znają polowań wykrztusi zdanie: „jako to niemyśliwska rzecz“ — jednakże, stosując tu zasadę „cel uświęca środki“ sądzę, że więcej myśliwską rzeczą jest zwierzynę drapieżną w tych rewirach, gdzie jej ołowiem dosięgnąć nie można, albo tylko z wielkiemi trudnościami, zniszczyć trucizną, niż pozwolić jej bez przeszkody tępić zwierzynę pożyteczną. W tych rewirach, w których wilk i ryś nie łatwo żer znajduje i dla tego w jasnych księżycowych nocach daje się słyszyć wycie wilka na brzegu lasów, w niewielkiej odległości od mieszkań ludzkich, a ryś, trapiony głodem, za tropem zwierzyny schodzi na podgórze, powinno się nakryć stół dla tych gości, którzy wreszcie z ochotą do ścierwa się zabierają. Jako przynęta nadają się, mojem zdaniem, najlepiej konie, które za bardzo małą cenę mogą być na targach nabyte; są to już do służby niezdatne zwierzęta, które się prowadzi na miejsce wybrane w lesie i tam zabija. Jako miejsca do zakładania ścierwa zatrutego nadają się oczywiście te miejsca, przez które przechodzą weksle drapieżników, przyczem wielką mają zaletę te miejsca, w bliskości których przechodzi potok albo inna jakaś płynąca woda. Po zastrzeleniu konia ściąga się, póki jeszcze jest ciepły, skórę aż do głowy, robi się w ścierwie nacięcia, zasypuje się je strychniną z pomocą łopatki drewnianej, zaciska porobione nacięcia i naciąga się napowrót skórę na ścierwo. Jeżeli się to wszystko zrobi w tem stadyum, gdy ścierwo jeszcze jest ciepłe, ma się tę korzyść, że strychnina przesiąknie w całe ciało i ma skutek o dużo pewniejszy. Następnie rozpruwa się brzuch zwierzęcia, wyciąga się trzewia, przywiązuje się je do sznura i obciąga się je w wielkim promieniu na około ścierwa, przyczem wraca się do ścierwa co jakiś czas, zostawiając kawałki trzewi po drodze. W końcu zaprawia się trzewia strychniną i wsuwa się je napowrót do jamy brzusznej konia, przymykając ją jak można najdokładniej. Jeżeli rysie znajdują się w rewirze, to powinno się zatruwać przedewszystkiem szyję ścierwa, gdyż według mojego doświadczenia, ryś chwyta się najprzód szyi ścierwa. Jeszcze lepszy sposób zatruwania ścierwa jest następujący: Kupuje się płynną strychninę, albo rozpuszcza się zwykłą, następnie napełnia się tą strychniną zwykłą szklanną strzykawkę i wyszukawszy tętnicę szyjową u konia, przeznaczonego na zatrucie, robi się w niej mały otwór i zastrzykuje mocno strychniną. Koń pada jak piorunem rażony ścierwo jest całe odrazu zatrute we wszystkich częściach. Ta ostatnia metoda jest tem lepszą, że strychnina-która przy zastosowaniu pierwszej metody w krystalicznej formie w nacięciach leży, na rozmaite zmiany temperatury jest narażoną i wskutek tego często słabiej działa, tutaj jest zupełnie przeciwko temu odchronioną i działa niezawodnie. Rewidować miejsca, gdzie ścierwo zatrute założono, należy bardzo pilnie, ale już w wielkiej odległości od ścierwa powinno się odwietrzać obuwie przez mocne wytarcie ich o gałęzie jodłowe lub świerkowe. Miałem doskonałe rezultaty z obydwoma metodami — i tak n. p. w czasie dwóch zim zatrułem w galicyjskich Karpatach ośmnaście wilków i dwa rysie. Że przy zatruwaniu i przy obielaniu zatrutej zwierzyny należy jak największą zachowywać ostrożność, nie potrzebuję tu wspominać. Przy rewidowaniu ścierwa nie powinno się także palić tytoniu.

Wywóz futer z Alaski. Jakie ogromne ilości zwierzyny znajdują się na tym półwyspie, dowodzi wykaz specyalnego biura amerykańskiego, które z urzędu pełni kontrolę nad ruchem handlowym tego kraju. Od rozpoczęcia sezonu przywieziono na kontynent amerykański z półwyspu Alaski następującą ilość futer: 152 wydr morskich, 1223 wydr zwykłych, 7804 bobrów, 571 czarnych niedźwiedzi, 395 szarych niedźwiedzi, 8 polarnych niedźwiedzi, 8 czarnych lisów, 556 nieokreślonych bliżej lisów, 120 rosomaków, 1588 kun, 4598 łasic-846 piżmowców, 1534 lisów zwykłych, 385 lisów krzyżaków, 116 białych lisów, 791 niebieskich lisów, 12 wiewiórek, 186 rysiów, 188 bliżej nienazwanych niedźwiedzi, 161 srebrnych lisów, 26 wilków, 87 psów morskich, 3024 jeleni, 2809 rozmaitych gatunków jeleni, 4 sobole, 53 pakietów futer bez bliższego podania gatunków.

Zapytanie. Pragnę sprawić sobie broń, że ją tak nazwę, uniwersalną — zatem według wszelkiego prawdopodobieństwa trzylufek — proszę Szanownych towarzyszy myśliwych o łaskawą radę, jaki system, jaki kaliber, jaką w ogóle broń mam sobie nabyć?

S. T.

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. ***Wydział.***

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego" we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.